Pani Lidia opowiada:

Wspomnienie z dzieciństwa? Pieniądze na cukierki. Czasem, wcale nieczęsto, dostawałam od rodziców, krewnych pieniądze na cukierki. Nie wydawałam ich na słodycze. Tylko składałam. Grosik do grosika, złotówka do złotówki, a jak się zebrała odpowiednia kwota, to biegłam i kupowałam książki. Nadal bardzo lubię czytać. Czytam  w każdej wolnej chwili. Najbardziej lubię psychologiczne. Szczególnie przeżywałam trzytomową sagę Nory Roberts "Wzburzone fale". Poruszające były dla mnie trudne, zawikłane losy dziecięcych bohaterów.  Czytam też książki sensacyjne i przygodowe.

Jak się zaczęły moje związki z Wydziałem Pedagogicznym?  Mieszkam na Służewiu.  Mając małe dzieci próbowałam pracować chałupniczo, składałam podzespoły dla ZWUT. Ale to była trudna  sprawa pogodzić opiekę nad dziećmi i pracę w domu. Pracowało się w nocy, byłam wiecznie zmęczona, a pieniądze... szkoda gadać.. W 1983 roku, kiedy dzieci poszły do szkoły i zerówki, wpadłam na pomysł, żeby zapytać o pracę w budynkach uniwersyteckich przy Szturmowej. Była potrzebna osoba do sprzątania. To mi odpowiadało. Przychodziłam przed piątą rano, wracałam, żeby dzieci wyszykować. Lubię sprzątać, ale praca nie była łatwa. Na wszystkich piętrach wykładzina dywanowa, a wokół ulice nieutwardzone, zabłocone chodniki albo topiący się śnieg. Tak, takie to były czasy. Wokół łąki, pola, małe domki, a przy nich piejące koguty, kury, chrumkajace świnki, krówki.

Kilka lat później Pani Maria Brym zaproponowała mi pracę w szatni. Zgodziłam się. Wtedy zaczęłam poznawać ludzi z Wydziału, studentów. To dawało dużo satysfakcji. Pamiętam młodziutką panią Anię Szewczyk, która jeździła wytrwale z dokumentami na Krakowskie, nieraz dwa razy dziennie. Metra nie było jeszcze. To było bardzo męczące, ale ona nie narzekała.

A potem nastał trudny moment - przeprowadzka na Mokotowską. Dużo zamieszania. Pakowanie. Remont, próba odnalezienia się, urządzenia w nowym miejscu. Miałam dalej do pracy, ale synowie podrośli i dawałam radę. W szatni praca była ciężka, nerwowa, bo było mnóstwo studentów. Działały trzy szatnie, ciągle przepełnione, brakowało miejsc na okrycia i trzeba się było mierzyć z niezadowoleniem studentów, ale tylko raz może miałam nieprzyjemną sytuację, przeważnie udawało się sprawy łagodzić. Wiele oznak sympatii otrzymywałam i tak jest do dziś. Dużo się wtedy nadźwigałam, powstały problemy z kręgosłupem, uraz barku, przykurcz ręki. Szczęśliwie udało się to zaleczyć. Teraz jest spokojniej, mniej studentów, ale dla Wydziału to niedobrze.

Dla mnie bardzo ważne są kontakty z ludźmi, nawet takie kilkuminutowe jakie ma się w szatni.  Nawet taki krótki czas pozwala na uśmiech, sympatyczne słowo czy spojrzenie. Szatniarka zna wszystkich pracowników i studentów. Zna teczki pracownicze, a tam ciągle ruch. Nawet jeśli jakaś praca należy do kolegów, to też musi się orientować.  Często jest proszona o pomoc w sprawach nietypowych. A to komuś się rozerwała spódnica - jest dyżurna igła i nitka. A to wazon czy wiadro na kwiaty potrzebne - są tu w szatni. A to plaster czy woda utleniona. Taśma klejąca, pisak, ołówek, agrafka, słoik, parasol, bo nagle ulewa się zerwała itp., itd. Dzięki temu lepiej poznaje się ludzi. Wiele osób się przewinęło przez moje życie tu w szatni. Niektórzy odeszli na emeryturę, inni na zawsze. Szalenie miło wspominam Panią Profesor Przecławską, zawsze zagadała, była uważna na człowieka, interesowała się, pytała o sprawy nie tylko zawodowe. To było dla mnie bardzo ważne, te przejawy życzliwości. Pamiętam też moje koleżanki z pracy. Z Asią Zając świetnie mi się pracowało, a jak byłyśmy czasem umęczone, to tylko na siebie popatrzyłyśmy i wybuchałyśmy śmiechem. Czasem z niczego. Dobrze się rozumiałyśmy, miałyśmy podobne usposobienia i upodobania. Dobrze mi się pracowało z Ewą Rybarczyk, z Januszem Romankiem. Teraz też się tutaj wzajemnie dogadujemy i wspomagamy. Z osób z Wydziału wiele zawdzięczam mojej byłej szefowej Pani Teresie Szczęsnej. Bardzo pomogła mi w trudnej sytuacji życiowej. Niezapomniany też jest dla mnie Zbyszek Maj, już jakiś czas na emeryturze, dobry człowiek, zawsze chętny do pomocy, zawsze życzliwy i jeszcze z dowcipem. Z ogromną serdecznością też wspominam Jego żonę śp.Mariolę. Dużo, dużo osób mogłabym tu wymienić, zabrakłoby miejsca.

Dlaczego odchodzę na emeryturę? Kiedyś trzeba. Gdybym była młodsza, miała więcej sił, to na pewno bym pracowała, żeby nie tracić kontaktu z ludźmi, no i przywiązałam się do tego miejsca. Przecież to już ponad 40 lat. Jednak męczą mnie już dojazdy, ranne wstawanie. Poza tym mąż choruje, dobrze jest, kiedy jestem w domu. Kot Rudi (rudy) też ostatnio niedomaga, nikt tak nie potrafi się z nim obchodzić jak ja. On się pięknie odwdzięcza: mruczy, przytula się , łasi. To radosne chwile. Będzie na to więcej czasu.

Co jeszcze będę robić na emeryturze oprócz głaskania kota? Na pewno czytać. Telewizji mniej oglądam. Programy są często głupie i ciągle tylko przemoc, wojna lub katastrofy. Od czasu wyborów oglądam wiadomości, patrzę jakie nowe porządki się zaprowadza, zobaczymy.

Może uda się wrócić do wycieczek rowerowych, do spacerów. Kiedyś jeździliśmy na rowerach całą rodziną do Wilanowa, do Powsina albo wzdłuż Wisły, takimi dzikimi, trudno dostępnymi ścieżkami. Człowiek trochę przysiadł, ma mniej chęci, sił. Potrzebny jest ktoś, kto poderwie, rzuci hasło. Jak jest więcej osób, to jest większa energia, chęć i motywacja do takich wypraw. Może się uda jeszcze. Na pewno zapiszę się do Klubu Seniora, będę chodzić na gimnastykę i rehabilitację. Mam nadzieję, że będzie więcej czasu, żeby zadbać o siebie i bliskich.

Teraz na Służewiu wszystko kwitnie i się zieleni, a jak pachnie! Wystarczy, otworzyć okno, kilka promieni słońca i świat jest TAKI PIĘKNY!

Red.: - Pani Lidko, dziękujemy za te lata pracy na rzecz Wydziału! Życzymy zdrowia Pani i Pani Bliskim (kotka nie wyłączając) oraz wielu przyjemności i radości na nowej drodze życia!

Ale jeszcze się nie żegnamy! Przyjdzie na to czas! No i liczymy też potem na odwiedziny!